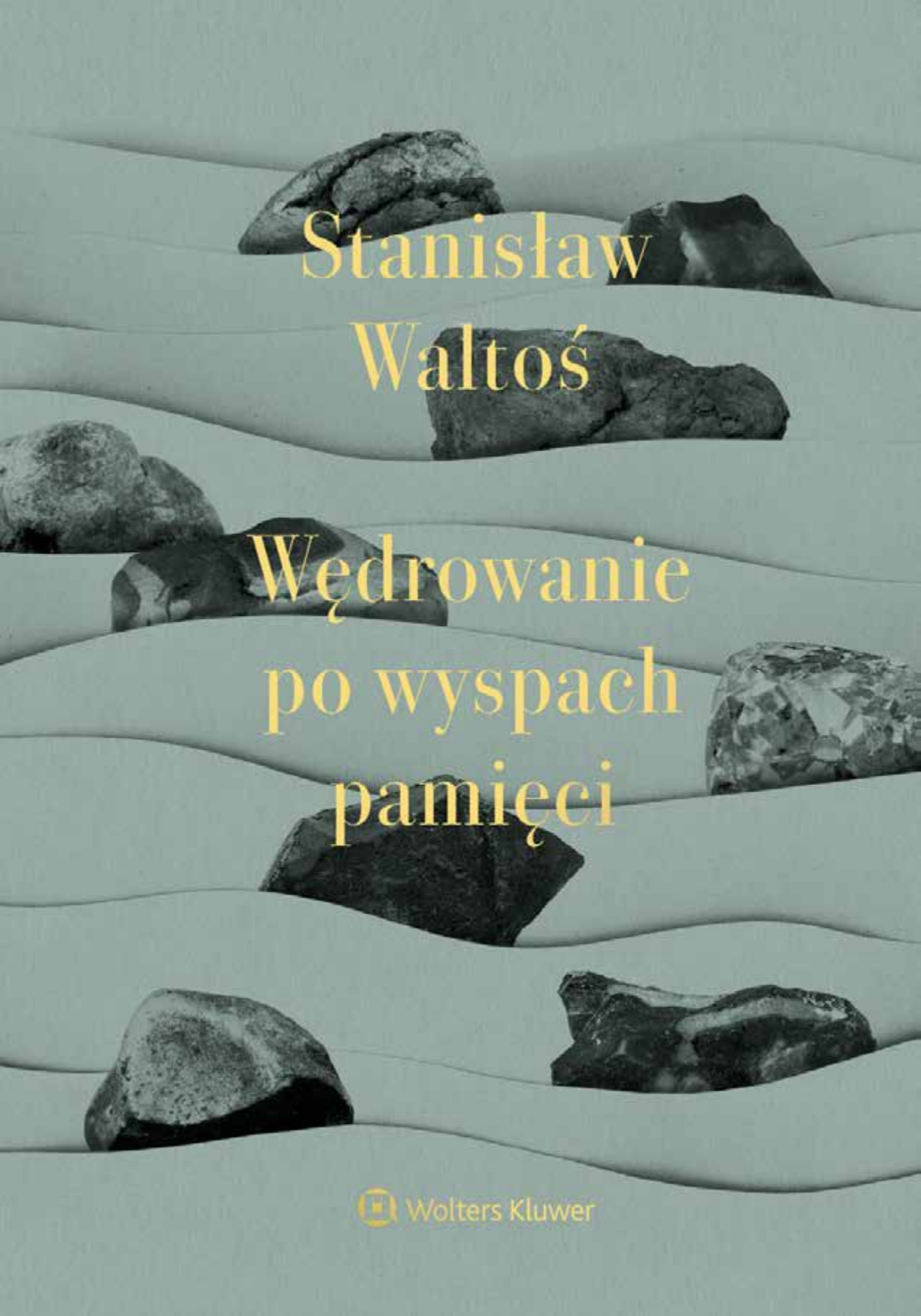


Stanisław Waltoś

Wędrowanie po wyspach pamięci

Wolters Kluwer

Stanisław
Waltoś

Wędrowanie po wyspach pamięci

Wolters Kluwer

Warszawa 2024

Wydawca
Klaudia Szawłowska

Redaktor prowadzący
Kinga Zając

Pierwsza i druga korekta, sporządzenie skorowidza osób
Grażyna Polkowska-Nowak

Trzecia korekta
Mirosława Jasińska-Nowacka

Projekt okładki i stron tytułowych
Wojtek Janikowski

Zdjęcie na okładce
Stanisław Waltoś — Muzeum UJ, fot. Mateusz Kozina

prawolubni

Ta książka jest wspólnym dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, byś przestrzegał przysługujących im praw. Książkę możesz udostępnić osobom bliskim lub osobiście znanym, ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A jeśli musisz skopiować część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy prawo i własność
Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

© Copyright by Wolters Kluwer Polska Sp. z o.o. and Stanisław Waltoś, 2024
ISBN 978-83-8390-041-4 *ISBN PDF-a: 978-83-8390-133-6*
2. wydanie

Wolters Kluwer Polska Sp. z o.o.
Dział Praw Autorskich
01-208 Warszawa, ul. Przyokopowa 33
tel. 728 313 462
e-mail: PL-ksiazki@wolterskluwer.com

księgarnia internetowa www.profinfo.pl

Spis treści

Od autora 7

Rozdział pierwszy
Opierzanie 9

Rozdział drugi
Nauka latania 55

Rozdział trzeci
Uniwersytet w uścisku Józefa Wissarionowicza, czyli moje lata uniwersyteckie 91

Rozdział czwarty
Pod znakiem czerwonego żabotu 171

Rozdział piąty
Wspinaczka po drabinie świata nauki 227

Rozdział szósty
Wyprawy do innego świata 325

Rozdział siódmy
Nieudane ćwiczenia z mobilności kadry naukowej 365

Rozdział ósmy
Przygody muzealne 393

Rozdział dziewiąty
W niezbyt skutecznej pogoni za przyzwoitym prawem 467

Postscriptum 503

Indeks osób 511

Od autora

Gdy inwencja się kurczy, a napinanie mięśni staje się coraz bardziej żałosne, myśl coraz chętniej biegnie ku przeszłości. Zaczyna się wspominanie – wędrowanie po wyspach pamięci na morzu zapominania i niekiedy nadaremnie ponawianych prób rekonstrukcji faktów.

Takie są zatem i te wspomnienia. Spisywane po latach, głównie na podstawie tego, co pamięć zachowała, choć często konfrontowane z zachowanymi dokumentami oraz pamięcią rodziny i przyjaciół. Sporo jednak w nich przemilczeń o wydarzeniach w moim już dość długim życiu. Nie tylko dlatego, że wiele faktów uciekło w niepamięć. Nacisk położony na splatanie się wątków osobistych z tłem publicznym sprawił, że nie rozwodziłem się nadmiernie o relacjach rodzinnych, o tragediach odchodzenia najbliższych i przyjaciół, o ich nieraz skomplikowanych i trudnych losach.

Nie mam żadnych wątpliwości, że należałoby więcej miejsca poświęcić rodzinie, studentom, doktorantom i najbliższym współpracownikom w Katedrze oraz w Muzeum. Nadawali oni przecież sens mojej pracy w Uniwersytecie. Za mało tu także o Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności, aktywności w organizacjach międzynarodowych, o niektórych projektach badawczych, nie mówiąc już

o świecie muzealników i radościach oraz smutkach dnia codziennego. Wszystko poza Kosmosem ma jednak swoje granice. Także wspominanie… Z tego między innymi powodu nie znalazł swego miejsca w książce nasz legendarny Bigos – w zasadzie wyżeł szorstkowłosy, znajda rabczański, dobroć nad dobrociami wśród psów.

Teraz, po pięciu latach, wydawnictwo Wolters Kluwer publikuje drugie wydanie *Wędrowania*… Usunięte zostały dostrzeżone usterki, a było ich sporo.

Przygotowywanie tego wydania miało więcej szczęścia. Nikt nikogo nie poganiał, czasu było dość, aby uwzględnić wszelkie chochliki, które udało się wyłapać. Zostały wprowadzone niewielkie uzupełnienia i aktualizacje, pojawił się także indeks. Ponieważ dynamika lat 2020–2024, mówiąc powściągliwie, była raczej duża, piszący te słowa musiał dodać nieduże „Postscriptum".

Chciałbym jeszcze raz gorąco podziękować za wszystkie uwagi i wskazówki, które dotarły do mnie od Czytelników po ukazaniu się pierwszego wydania, a także Wydawnictwu, które uczyniło wszystko, aby mogło ukazać się ono, jak zawsze, w pięknej oprawie edytorskiej.

Dziękuję bardzo – *last but not least* – także pani redaktor Grażynie Polkowskiej-Nowak za trud włożony w redagowanie książki, z tradycyjną dla niej wielką starannością i fachowością.

Stanisław Waltoś
Kraków, 1 maja 2024 r.

Rozdział pierwszy

Opierzanie



Zdaniem prof. Kazimierza Rymuta, znanego toponomastyka, nazwisko Waltoś jest pochodzenia niemieckiego. Pierwotnie podobno brzmiało „Walter". Świadczyłoby więc o niemieckim pochodzeniu moich protoplastów. Karol Estreicher jr uważał natomiast, że wzięło się z nazwiska „Waldaus". Znaczyłoby zatem pierwotnie „pochodzący z lasu".

Tak albo tak – geneza tkwi w Niemczech, najprawdopodobniej południowych, może w Szwabii, skąd wywędrowali w średniowieczu przyszli mieszkańcy wsi Rudna Wielka, dzisiaj graniczącej z Rzeszowem. Rudna Wielka została bowiem założona na prawie niemieckim w XIV wieku przez Rzeszowskich herbu Półkozic, potem należała do Mikołaja Spytka Ligęzy, Lubomirskich, Radziwiłłów i innych, aż w końcu – w latach 20. XIX wieku – właścicielami jej zostali Dąmbscy wywodzący się z Lubrańca na Kujawach.

Po Dąmbskich pozostały: wielki murowany pałac z parkiem, kościół – dobrze widoczny z pociągu jadącego między Rzeszowem a Dębicą – i kolekcja dzieł sztuki należąca do Ossolineum, przechowywana w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie, a także nazwiska kilku członków rodu, bardzo zasłużonych dla kultury i nauki, m.in. prof. Izydory Dąmbskiej, uczennicy słynnego filozofa prof. Kazimierza Twardowskiego, z racji poglądów dalekich od marksizmu wysiedlonej w latach 60. ubiegłego wieku z Uniwersytetu Jagiellońskiego do Instytutu Filozofii PAN.

Wywodzimy się zatem, my Waltosiowie, z kiedysiejszych chłopów pańszczyźnianych, poddanych Dąmbskich, z chłopów, którym dopiero w 1848 r. zaborca austriacki przyznał wolność i ich uwłaszczył.

Pradziadek, Franciszek Waltoś, syn Mikołaja i Katarzyny z domu Czyż, był fornalem w majątku Dąmbskich. Mam pełne prawo przypuszczać, że ojciec mojego prapradziadka Mikołaja, czyli prapra-pradziadek, był jeszcze chłopem pokornie odrabiającym pańszczyznę i równie bardzo nisko kłaniającym się swoim panom w Rudnej Wielkiej.

Franciszek Waltoś miał dwóch synów: Ferdynanda i Stanisława. Ten drugi – urodzony 29 września 1874 r. – był moim dziadkiem. Obaj, jak się kiedyś mówiło, „wyszli na ludzi".

Ojciec opowiadał, że jego ojciec i stryj biegali boso do szkoły. Buty wkładali, wchodząc do szkoły i kościoła. Taka była wieś galicyjska i chyba nie tylko galicyjska. Nie bez powodu Stanisław Wyspiański w *Weselu* w usta Panny Młodej włożył konstatację: „trza być w butach na weselu" (S. Wyspiański, *Wesele*, Kraków 1901, s. 27). Mówiąc inaczej, na wsi chodziło się boso na co dzień.

Nie doszedłem, jak udało się fornalowi Waltosiowi doprowadzić do tego, że obaj synowie ukończyli gimnazjum, i jak jeden z nich ukończył seminarium nauczycielskie (Ferdynand), a drugi (Stanisław, mój dziadek) po ukończeniu tego samego seminarium zawziął się i dodatkowo odbył studia z zakresu historii na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Najprawdopodobniej obaj zarabiali korepetycjami i jakimiś pracami dorywczymi.

Jeszcze niedawno, w pierwszej połowie XX wieku, nazwisko Waltoś dominowało wśród mieszkańców Rudnej Wielkiej. Nie spotkałem zresztą człowieka o tym nazwisku, który by się nie wywodził z tej wsi.

O związku mojego nazwiska z Rudną Wielką najlepiej świadczą dwa fakty, będące same w sobie anegdotami.

W roku 1974 postanowiłem pokazać Rudnę Wielką mojemu synowi, Kubie, mającemu wówczas 12 lat. Niech wie, skąd pochodzi po linii męskiej. Z linią żeńską byłoby w tamtych latach trudniej, gdyż wszystkie miejscowości z nią związane znajdowały się za niezbyt łatwo przekraczalną granicą. Pojechaliśmy więc do Rudnej. Samochodem.

Ledwie minęliśmy znak z nazwą miejscowości, zobaczyliśmy na poboczu drogi dziewczynkę, mniej więcej w wieku Kuby. Zatrzymałem się przy niej na jego prośbę, a ten ją zapytał:

– Przepraszam, jak się nazywasz?

– Marysia Waltoś.

Pojechaliśmy dalej, jakieś 200 metrów. Zobaczyliśmy wiejską drewnianą chałupę i na niej tabliczkę: „Rudna Wielka nr 48. Stanisław Waltoś". Na cmentarzu zaś na co trzecim nagrobku widniało to nazwisko.

Waltosiowie mieli to do siebie, że raczej niechętnie opuszczali Rudnę Wielką. Wiedziałem, że w Bielsku-Białej żyje jakiś sędzia Waltoś, ktoś mi powiedział, że słyszał o Waltosiu mieszkającym w Wieliczce, a po latach nawiązała ze mną listowny kontakt pani mieszkająca w USA, pisząc, że jej ojciec urodził się w Rudnej Wielkiej.

Tę niemalże prawidłowość zaburzył pewien fakt, czystej krwi paradoks. Mimo że relacja o nim łamie chronologię wspomnień, muszę o nim napisać już tutaj, w tym miejscu. Zdarzyło się to chyba w roku 1963. Mieszkaliśmy wtedy w bloku na Grzegórzkach, przy ulicy Francesco Nullo, na drugim piętrze. Pewnego dnia Dorota, moja żona, znalazła w naszej skrzynce pocztowej widokówkę z jakiegoś uzdrowiska, zaadresowaną do pani Zofii Waltoś, wysłaną przez kogoś zupełnie nam obcego. Natychmiast wrzuciła przesyłkę do przegródki „zwroty".

Za dwa lub trzy tygodnie w naszej skrzynce pocztowej pojawił się jakiś list, tym razem adresowany do niejakiego Leopolda Waltosia. Gdy deliberowaliśmy, co z nim zrobić, usłyszeliśmy dzwonek do drzwi.

Dorota otwarła je i zobaczyła mężczyznę w wieku około 50 lat, który przedstawił się:

– Leopold Waltoś, jesteśmy nowymi sąsiadami.

Sąsiadami byliśmy drzwi w drzwi, na tym samym piętrze, na tej samej klatce schodowej. Pan Leopold pochodził oczywiście z Rudnej Wielkiej.

W domowym archiwum, przechowywanym przez mojego brata, zachował się album ze zdjęciem przedstawiającym moją mamę z noworodkiem w łóżku szpitalnym. To fotografia mamy ze mną, wykonana dwa lub trzy dni po moim urodzeniu, w dniu 9 lutego 1932 r. w Stanisławowie.

Zacznijmy jednak od początku. Na Stanisławów przyjdzie czas…

Tata, Tadeusz Waltoś, urodził się we Lwowie w 1905 r. Tam też chodził do szkoły podstawowej, a następnie do tego gimnazjum, w którym



Z mamą w szpitalu w Stanisławowie, luty 1932 [zbiory autora]

historii uczył mój dziadek. Siłą rzeczy Stanisław nauczał Tadeusza. Nauki w tym gimnazjum Tadeusz jednak nie ukończył. Jego matka, Helena Sylwestryna, córka Josepha Kloba, kasjera miejskiego w Żółkwi, potomka osadników niemiecko-austriackich, czyli moja babcia, zapisała go w 1919 r. do Korpusu Kadetów nr 1. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć tej decyzji. Całe jego późniejsze życie dowodziło, że nie miał w sobie żadnego zamiłowania ani do nadmiernej systematyczności, ani do jakiegokolwiek drylu. Wciskanie go w sztywne szablony życia niemal wojskowego musiało się skończyć porażką.

Korpus Kadetów znajdował się najpierw w Krakowie, w gmachu będącym pozostałością po dawnym pałacu królewskim na Łobzowie, wielokrotnie przebudowywanym, mieszczącym dzisiaj Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej. W roku 1921 Korpus Kadetów został przeniesiony do Lwowa. Umieszczono go w pięknych zabudowaniach poaustriackich, niedaleko Wzgórz Wuleckich, na których 20 lat później, z początkiem lipca 1941 r., SS zamorduje grupę profesorów uczelni lwowskich.



Korpus Kadetów we Lwowie umieszczono w pięknych zabudowaniach poaustriackich, 1921–1939 [zbiory NAC]

Jeszcze przed przedwczesną śmiercią mojego dziadka Stanisława w 1924 r. babcia wysłała mojego ojca Tadeusza w 1922 r. do Francji (pomocny bardzo był w tym chyba jej przyjaciel Zawadzki, redaktor jakiejś gazety galicyjskiej, być może „Czasu", może „Gazety Lwowskiej", z którym później związała się po śmierci męża) na wakacje przed ostatnią klasą, maturalną. Decyzja ta pociągnęła za sobą nieoczekiwane konsekwencje, które przesądziły o losie mojego ojca, a tym samym wpłynęły na dzieje jego rodziny. Po raz pierwszy, ale wcale nie po raz ostatni, przypadek w naszej rodzinie sprawił, że jej losy potoczyły się inaczej, aniżeli miało to wynikać z rysującej się tzw. logiki wydarzeń.

Wersja przekazana mi przez mamę – ojciec nigdy o tym nie opowiadał – jest bardzo barwna, ale w konfrontacji z dokumentami przechowywanymi przez mojego brata budzi raczej wątpliwości. Oto ona:

Po dwóch miesiącach spędzonych we Francji ojciec wsiadł do pociągu pospiesznego zmierzającego do Lwowa. W Krakowie wszedł do przedziału zadbany i dobrze ubrany pan w średnim wieku, siadł naprzeciwko ojca i zagaił rozmowę:

– A skąd to, młody człowieku?

– Z Paryża, proszę pana.

– Ho, ho, miał pan z pewnością ładne wakacje?

– Ach tak, było tam fantastycznie!

– A jak stosunki we Francji?

– Proszę pana, normalne, całkiem normalne. Francja to państwo demokratyczne. Nie ma w nim polityków, mających za nic parlament, nie ma także generałów i pułkowników, którzy marzą o przejęciu władzy – wypalił mój przyszły ojciec. Nie wpadło mu do głowy, aby ukrywać swą niechęć do obozu Piłsudskiego.

– Ciekawe, ciekawe – mruknął pan i na tym skończyła się rozmowa.

Kilka dni później, 1 września, odbyło się rozpoczęcie roku szkolnego w Korpusie Kadetów we Lwowie. Wielki dziedziniec przed olbrzymim gmachem wypełnili w czworobok ustawieni kadeci. Komendant

Korpusu przywitał się z kadetami, po czym oznajmił, że od tego dnia Korpus ma nowego komendanta. Nowym komendantem był pan, który dosiadł się do przedziału w Krakowie. Ojciec stojący wśród kadetów struchlał i czekał teraz na dalszy przebieg wypadków. Doczekał się bardzo szybko.

Komendant Korpusu obszedł cały czworobok i natychmiast wyłowił ojca:

– Kadet zgłosi się zaraz u mnie w gabinecie – rozkazał.

W gabinecie rozmowy nie było. Ojciec dowiedział się tylko, że w Korpusie nie ma miejsca dla kadetów, którzy nie mają szacunku dla Marszałka.

Tak miała zakończyć się kariera wojskowa mojego ojca. Opowieść ta należy do rodzinnych legend. Nie jestem jednak pewien, czy wszystko się w niej zgadza. Podstawową wątpliwość wywołuje konfrontacja opowieści z faktami. Pierwszy z nich to okres jego pobytu w Korpusie Kadetów. Z zaświadczenia wystawionego przez Komendanta Korpusu wynika, że ojciec był kadetem w okresie od 1 października 1919 r. do 1 października 1922 r.

Gdyby relacja mamy była prawdziwa, to 1 października 1922 r. musiało dojść do zmiany na stanowisku komendanta Korpusu Kadetów. Nic takiego się nie stało. W okresie od października 1921 r. do końca 1923 r. komendantem Korpusu był major Tadeusz Machalski (1881–1943). Dzień 1 października 1922 r. nie był więc dniem obejmowania dowództwa Korpusu przez nowego komendanta. Machalski był już od roku komendantem Korpusu i miał nim pozostać jeszcze przez rok. Życiorys zaś Machalskiego nie wskazuje na jakiekolwiek jego powiązania z piłsudczykami.

Jeżeli zatem taka rozmowa rzeczywiście się odbyła, to rozmówcą ojca mógł być ktoś inny, jakiś ważny oficer skierowany do służby w Korpusie Kadetów. A może jest to tylko ładna historyjka opowiedziana przez ojca, a przyczyny usunięcia go z Korpusu na rok przed

maturą były inne? Zaświadczenie o przebiegu nauki w Korpusie Kadetów, podpisane przez majora T. Machalskiego, nie ujawnia niestety żadnych powodów rozstania się Korpusu z ojcem.

Opis tego epizodu wypada zakończyć jeszcze jednym „gdybaniem", czyli wywodem alternatywnym: kto wie, czy rozstanie się ojca z Korpusem Kadetów nie ocaliło mu życia. Gdyby został w wojsku, gdyby został oficerem, mógł się znaleźć wśród ofiar Katynia, Charkowa i Miednoje, nie mówiąc o śmierci w czasie działań wojennych.

Ostatni rok nauki w gimnazjum ojciec spędził najpierw w gimnazjum jezuickim z internatem w Chyrowie, a później w Krakowie. Maturę zdał w krakowskim Państwowym Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczym 8 czerwca 1923 r. Wkrótce wyjechał do Syrii, będącej protektoratem francuskim, pod opieką jakiegoś Francuza, oficera. Stamtąd – w 1925 r. – przeniósł się do Paryża, gdzie przez rok pracował jako sekretarz prywatny w spółce Coste & Carbon, a równocześnie studiował nauki polityczne i ekonomię w l'Ecole Libre des Sciences Politiques. Zaliczył jednak tylko rok i z końcem 1926 r. wrócił do Polski. Najlepsze co wyniósł z tamtych lat, to bardzo dobra znajomość języka francuskiego. Ani dyplomu nie przywiózł, ani nie zdobył żadnego konkretnego zawodu. Potem była jeszcze nieudana próba zatrudnienia się w 1928 r. w Konsulacie RP w Lipsku. Nieudana, gdyż okazało się, że jego szkolna znajomość języka niemieckiego nie wystarczała do załatwiania różnych spraw urzędowych, a znakomite opanowanie języka francuskiego nie było w Lipsku do czegokolwiek przydatne.

Pora wreszcie, aby w opowiadaniu o rodzinie pojawiła się moja matka. Elma Cecylia Buszyńska, urodzona w Stryju w 1907 r., była córką Stanisława Sas-Buszyńskiego, założyciela i współwłaściciela przedsiębiorstwa wyławiającego z rzek galicyjskich ropę naftową, niefrasobliwie spuszczaną do nich przez niezliczone kopalnie ropy w rejonie Borysławia. System zręcznie skonstruowanych łapaczek na rzece Tyśmienicy zbierał z powierzchni wody ropę, która po odfiltrowaniu spływała

do zbiorników, a następnie do podstawianych cystern kolejowych. Spółka była bardziej dochodowa niż kilka dobrych szybów naftowych.

Stanisław Sas-Buszyński pochodził ze średnio zamożnej szlachty galicyjskiej. Zdążył się wychować jeszcze w majątku ojca – w Sorokach niedaleko Kołomyi. Zarówno mój pradziadek, jak i dwaj bracia mojego dziadka przez pewien czas pełnili funkcje starostów.

Inaczej potoczyły się losy mojego dziadka. Za młodu ruszył w świat. Był w Indiach, na Malajach, w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Pracował jako wiertacz w poszukiwaniach ropy i wody prowadzonych przez holenderskie przedsiębiorstwa. Do Kanady jeździł co najmniej dwukrotnie. Jedna z podróży była bardzo romantyczna. Wybrał się tam, aby starać się o rękę wcześniej poznanej młodziutkiej Mamie Mac Intosh. Udało mu się pokonać opór rodziny, a potem przywieźć wybrankę do dzikiej Galicji, w której zresztą nie brakowało wówczas jej krewnych i powinowatych. Jej ojciec Mac Intosh, a mój pradziadek, był współwłaścicielem wielkiej firmy Perkins, Mac Intosh, Zdanowicz w Stryju, produkującej narzędzia wiertnicze. Anglicy i Kanadyjczycy robili wówczas wielkie pieniądze na ropie naftowej.

Po powrocie do Galicji dziadek Sas-Buszyński dorobił się pięknej willi w Drohobyczu, lokaja, stangreta, pokojówek. Buszyńscy mieli siedmioro dzieci – czterech synów i trzy córki. Chłopcy mieli imiona polskie: Ludwik, Stanisław, Władysław i Jerzy, córki zaś – anglosaskie: Flossie, Edna i najmłodsza Elma Cecylia, czyli moja przyszła matka.

Elma poznała Tadeusza Waltosia dzięki jednemu ze swych braci. To Władysław przywiózł go z Chyrowa, gdzie obaj uczyli się przez kilka miesięcy, do Drohobycza, na ferie świąteczne w 1923 r. Znajomość z Elmą przetrwała lata pobytu Tadeusza we Francji oraz w Lipsku i chyba w 1929 r. byli już zaręczeni – wbrew woli jej matki, czyli mojej za kilka lat babci, i najstarszej siostry Flossie. Mama w tym czasie studiowała anglistykę na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie. Zrezygnowała jednak z tych studiów i zapisała się – wraz



Galizische Bohrwerkzeug-Fabrik

Perkins, Mac Intosh & Zdanowicz

Ges. m. b. H. in Stryj.

Die Entstehung dieser weitbekannten Firma, die sich mit der Fabrikation von Tiefbohrwerkzeugen und kompletten Bohrausrüstungen beschäftigt, reicht schon in das Jahr 1839 zurück, in welchem Jahre die erste Fabrik in Sloboda rungórska bei Kolomea gegründet wurde. Die Tiefbohrungen in Sloboda rungórska, die anfangs mit Freifallbohrung geführt wurden, haben erst dann einen grösseren Aufschwung genommen, als man das kanadische Bohrsystem angewendet hat. Die Gründer dieser ersten Bohrwerkzeugfabrik, die Herren Cyrus Perkins & George Mac Intosh, befassten sich in Sloboda rungórska zuerst nur mit Tiefbohrungen und der Mangel an einer Bohrwerkzeugfabrik, besonders für die damals berühmte Grube hat sie dann bewogen, die kleine Werkstätte von der Firma Stanisław Szczepanowski zu erwerben und da sie schon von Kindheit an die nötigen Fachkenntnisse zur Fabrikation der Bohrwerkzeuge besassen, sie hier entsprechend zu verwerten.

Die Maschinenfabrik in Stryj neben dem Bahnhofe.

100

Material chroniony prawem autorskim

O firmie Perkins, Mac Intosh, Zdanowicz w Stryju w publikacji Siegmunda Bergmanna *Galizien, seine kulturelle und wirtschaftliche Entwicklung*, Wien 1913 [domena publiczna]



Po powrocie do Galicji dziadek Sas-Buszyński dorobił się pięknej willi w Drohobyczu przy ul. Kolejowej, 1920 [zbiory prof. Jacka Waltosia]

z moim ojcem – na kurs dla abiturientów szkół średnich przy Państwowej Szkole Ekonomiczno-Handlowej we Lwowie. Chyba chciała być blisko niego, skłonić go do nauki, a może nieco go przypilnować? Oboje ukończyli kurs w czerwcu 1929 r. Mieli zatem już jakieś wykształcenie praktyczne. Ojciec wówczas podjął bezpłatną praktykę w lwowskiej Fabryce Zieleniewskiego w nadziei na etat, ale nic z tego nie wyszło.

Na szczęście spadła jak z nieba możliwość pracy w Chorzowie, na Górnym Śląsku, w charakterze nauczyciela szkoły zawodowej. Mimo że kwalifikacje ojca były niewielkie, silnym argumentem za przyjęciem go do pracy na Śląsku było jego… nieśląskie pochodzenie. Ojciec znalazł się w nurcie polonizacji Śląska, prowadzonej pod silnym patronatem wojewody Michała Grażyńskiego, między innymi w szkolnictwie.

W 1930 r. wylądował więc na drugim i całkiem mu obcym krańcu Polski, w Chorzowie, który do 1934 r. nazywał się jeszcze Królewską Hutą. Otrzymał posadę nauczyciela miejskiej szkoły zawodowej i na tym stanowisku pracował do wybuchu wojny.

Rodzice pobrali się jeszcze w 1930 roku, w okresie Świąt Wielkanocy. Zamieszkali w Chorzowie przy ulicy Powstańców Śląskich pod numerem 13, na drugim piętrze ładnej kamienicy, naprzeciwko kościoła ewangelickiego. Pamiętam dobrze to mieszkanie. Trzy pokoje, wielka kuchnia, służbówka i klozet. Łazienki w mieszkaniu nie było. Kąpiele odbywały się w wielkiej blaszanej wannie ustawionej w kącie kuchni.

Ojciec zabrał się szybko do uzupełniania kwalifikacji zawodowych. Odbył praktykę w piekarni Bujoka, uzyskał dyplom czeladnika piekarstwa, a następnie, po kilku latach żmudnego podróżowania co tydzień do Krakowa, uzyskał 6 lutego 1934 r. dyplom ukończenia studiów ekonomicznych z zakresu towaroznawstwa, na podstawie pracy dyplomowej w Wyższym Studium Handlowym (z którego wiele lat po wojnie – w 2015 r. – wyłoni się Uniwersytet Ekonomiczny, na którym otrzyma licencjat mój starszy wnuk Sebastian). Te dwa dyplomy ostatecznie „zabezpieczyły mu plecy". Otrzymał stały etat.

W grudniu 1938 r. urodził się mój brat Jacuś, przyszły malarz i rzeźbiarz. Przez dobrych kilka miesięcy rodzice robili wówczas ze mnie durnia, okaz skrajnej niewiedzy i naiwności. Sam się zresztą do tego przyczyniłem. Zanudzałem ich pytaniami, dlaczego nie mam braciszka. Najpierw zbywano mnie byle czym, a po pewnym czasie poradzono mi, abym sypał nieco cukru na parapet okna, to przyleci bocian z braciszkiem w dziobie. Sypałem i sypałem ten cukier, nie żałując go, mimo że wówczas nie był tani. Już po wojnie dowiedziałem się, że jeden kilogram kosztował aż jeden złoty.

W dwa lub trzy dni po 11 grudnia 1938 r. tata zaprowadził mnie do szpitala miejskiego w Chorzowie. Zobaczyłem mamę w łóżku. Za chwilę pielęgniarka przyniosła białe zawiniątko z buzią niemowlaka na wierzchu. Dowiedziałem się, że to jest mój brat.

Utrzymując się w konwencji skuteczności sypania cukru na parapet dla bociana, mogę tylko powiedzieć – opłaciło się. Przyczyniłem się do zaistnienia mojego brata. Przechodząc zaś do konwencji bardziej pedagogicznej, po kilku latach, gdy koledzy uświadomili mnie, skąd się biorą dzieci, zadawałem sobie pytanie, czy nie można było jednak powiedzieć sześcioletniemu dziecku, że opowieść o bocianie jest tylko ładną bajką, i wytłumaczyć, że dzieci powstają tak jak małe kocięta? Wtedy jednak zabawy dorosłych z sypaniem cukru by nie było.

Ojciec doskonale zaadaptował się do otoczenia na Śląsku. Mimo że był „gorolem" – jak nazywano na Śląsku przybyszy z Galicji i Kongresówki. Polubili go uczniowie, grywał w miejscowym półzawodowym teatrze „Młoda Scenka" mieszczącym się w Domu Ludowym – innego nie było – będąc jednym z jego najbardziej popularnych aktorów, wieczorami namiętnie grał w brydża. Mama nie pracowała zawodowo, „stała na straży ogniska domowego". Gdy urodził się Jacek, rodzice zatrudnili do pomocy nianię, Ślązaczkę, o imieniu Ela,

niezależnie od przychodzącej co kilka dni Frani, obarczonej obowiązkiem sprzątania i prania.

Taki był standard życia nauczycieli na Górnym Śląsku, gdzie obowiązywała pruska tradycja, oczywiście łącznie ze stosownymi przepisami, nakazująca rzetelne opłacanie nauczycieli.

Na to wszystko wystarczały zarobki nauczyciela szkoły zawodowej wynoszące w 1939 r. ponad 450 złotych. Stać więc było ojca np. w 1938 r. na opłacenie wycieczki dla całej rodziny Luxtorpedą z Katowic do Warszawy – do babci, która tam od kilku lat mieszkała, i powrót samolotem LOT-u na lotnisko w Brynowie. Musiało to niezłe pieniądze kosztować…

Tej podróży nigdy nie zapomniałem. Po raz pierwszy leciałem samolotem. Był to fokker, który co chwilę wpadał w jakieś dziury powietrzne. Trzy czwarte lotu „odwiedzałem stolicę Rygę", dla dzisiejszego młodego pokolenia – wymiotowałem. Do dzisiaj w mojej pamięci tkwi również jakaś ogromna agrafka zwisająca z prawego skrzydła. Nie dowiedziałem się nigdy, co to było.

Pamiętam, jak Ślązaczki w soboty nosiły do piekarza na tacach zrobiony w domu placek z kruszonką. Dlaczego nie piekły go w domu? Czy te wielkie tace nie mieściły się w domowych piekarnikach? Nie umiałem także odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego coraz częściej oglądałem na blaszanych żaluzjach sklepów koślawe napisy, malowane z pewnością w pośpiechu: „Nie kupuj u żyda". Dlaczego nie należało u nich kupować, skoro mama mówiła mi, że właśnie w sklepach żydowskich z reguły ceny są niższe? O co chodziło? Tego nie pojmowałem i jakoś nikt w domu nie był skłonny odpowiedzieć mi na to pytanie.

Wakacje spędzali rodzice ze mną z reguły albo w Jaśle, u wujostwa Madejewskich (tych, pod których okiem urodziłem się w Stanisławowie), albo w Rabce, a w 1937 i 1938 r. po części w Jastrzębiej Górze,

gdzie w tym czasie babcia Helena Waltosiowa wybudowała dom na parceli zapisanej jej w testamencie przez przyjaciela, wspomnianego już redaktora Zawadzkiego. W budowie domu pomogła jej bardzo nie tylko wysoka emerytura po dziadku, ale i pożyczka uzyskana z Banku Gospodarstwa Krajowego.

Dom stanął przy głównej ulicy prowadzącej do Karwi. Składał się z sześciu pokojów, pięknej werandy, niestety tylko jednej łazienki, kuchni oraz spiżarni w przyziemiu.

Niespokojny duch mojej babci nie pozwolił jej na trzymanie się projektu budowlanego zatwierdzonego przez władze architektoniczne w Wejherowie. W czasie budowy pozmieniała to i owo, i oczywiście wybuchła awantura po wizycie inspektora budowlanego. Budowa została wstrzymana. Prace wznowiono, gdy babcia zapłaciła grzywnę.

Po dwóch latach dość niespokojnego użytkowania domu – miewała scysje z letnikami wynajmującymi pokoje – sprzedała go w 1938 r. cioci Flossie Madejewskiej.

Edukację rozpocząłem 1 września 1938 r. – w ładnej szkole w centrum Chorzowa. Do niedawna przechowywana była w domu fotografia przedstawiająca tatę prowadzącego mnie po raz pierwszy do szkoły – niestety przepadła w czasie któregoś z jubileuszy. Dla mnie 1 września roku 1938 ważniejsze było jednak coś innego: przedmiot marzeń wszystkich pierwszoklasistów – tytka. To był wielki rożek z tektury oklejony czymś bardzo barwnym, wypełniony słodyczami. Prezent na początek edukacji szkolnej, tradycyjnie przysługujący na Śląsku, podobnie jak i w krajach niemieckojęzycznych. Pamiętam dobrze tę tytkę, uciekła tylko w niepamięć jej zawartość. Była jednym z pierwszych rytuałów w życiu bardzo młodego człowieka, których z biegiem czasu będzie coraz więcej.

Cały ten dobrze uporządkowany świat zawalił się równo rok później – 1 września 1939 r.

Wakacje w roku 1939 były niespodziewanie krótsze. Spędzaliśmy je w Rabce, nieco poniżej uzdrowiska, niedaleko stacji kolejowej, w domu Mlekodajów, zamożnych gospodarzy. Rodzice postanowili jednak wrócić do Chorzowa wcześniej niż zwykle, około 25 sierpnia. Dwa lub trzy dni później tata wcisnął na dworcu w Katowicach mamę, Elę, malutkiego Jacka i mnie do pociągu jadącego do Warszawy. Podczas wsiadania do wagonu, w prawdziwym lub sztucznym tłoku, mama została okradziona. Przepadły trzymiesięczne pobory, jakie ojciec otrzymał dzień lub dwa dni wcześniej. Wypłacano je awansem wszystkim urzędnikom państwowym i samorządowym – nauczyciele szkół zawodowych byli urzędnikami samorządowymi – w całej Polsce pod koniec sierpnia.

Trudno, wysiadanie nie wchodziło w rachubę, trzeba było jechać. Nie mam pojęcia, jak mama dała sobie radę bez tych pieniędzy, kto ją poratował. Wygląda na to, że babcia. Nie były to sprawy, którymi interesowali się siedmioletni chłopcy.

Dojechaliśmy do Warszawy na olbrzymi, nowiuteńki, świeżymi tynkami pachnący Dworzec Główny. Stamtąd babcia zawiozła nas taksówką do swojego mieszkania przy ulicy Francuskiej. Już nie pamiętam, pod którym numerem, z całą pewnością po prawej stronie, patrząc od mostu Poniatowskiego. Mieszkanie było chyba na pierwszym piętrze, w niedawno wybudowanej kamienicy, trzypokojowe, obwieszone obrazami przywiezionymi ze Lwowa, pełne ładnych mebli i dywanów.

Ojciec wysyłał rodzinę do Warszawy z pewnością pod wpływem wiadomości o zawarciu paktu Ribbentrop–Mołotow. Sam fakt zawarcia tego paktu, bez wiedzy o jego tajnym załączniku, do tego stopnia go zaniepokoił, że podjął taką decyzję. Wychodził z dwóch założeń: słusznego i iluzorycznego. Słusznego, że w razie zaatakowania Polski przez Niemcy wojska niemieckie znajdą się na Górnym Śląsku w ciągu kilkunastu godzin i, być może, natychmiast zaczną się prześladowania ludności napływowej, do której zaliczali się Waltosiowie.

Iluzorycznego – pod niewątpliwym wpływem choćby plakatów przedstawiających marszałka Rydza-Śmigłego ze słowami „Zwarci, silni, gotowi" – że do Warszawy Niemcy z pewnością nie dotrą.

Pierwszym objawem wybuchu drugiej wojny światowej odnotowanym ze zgrozą w naszej rodzinie, natychmiast po przyjeździe do Warszawy, był mój niespodziewany apetyt. Do tej pory byłem niejadkiem, utrapieniem przy wszystkich możliwych posiłkach, które z mojego powodu wlokły się i wlokły… Mama załamała ręce:

– Teraz zdecydowałeś się wreszcie jeść normalnie? – pytała, nie oczekując zresztą żadnej sensownej odpowiedzi.

W piękną, słoneczną sobotę 2 września Ela, która nigdy nie była w Warszawie, chciała zobaczyć coś z miasta. Przed południem wsadziła maleńkiego Jacusia – liczył sobie tylko 10 miesięcy – do wózka, wzięła mnie za rękę i jakimś autobusem dotarła na plac Teatralny. Do dziś pamiętam ogromny gmach Teatru Wielkiego, nas na skwerze, obok tramwaje, tłum ludzi. I nagle alarm – panika, ludzie gdzieś biegną, słychać samoloty nad miastem. Ela najpierw schowała się z nami do jakiejś bramy, potem szybko wróciliśmy na Saską Kępę, do babci. Udało się.

Trzeciego lub czwartego września babcia uznała, że pobyt w Warszawie nie gwarantuje nam bezpieczeństwa. Zapakowała nas do jakiegoś samochodu i wysłała do zaprzyjaźnionego pensjonatu w Józefowie koło Otwocka. Stamtąd widać było łuny pożarów w Warszawie. Którejś nocy mama zarządziła przeniesienie się do Karczewa. Dlaczego? Nigdy się nie dowiedziałem. Pamiętam tylko, że nocą wyszliśmy na drogę i na piechotę (!) wyruszyliśmy do Karczewa, niewielkiego miasteczka słynnego z tego, że co drugi jego mieszkaniec był rzeźnikiem.

Ela z mamą popychały wózek z Jackiem, obarczone jakimiś plecakami, a ja, siedmioletni pędrak, niosłem bańkę z benzyną, potrzebną do tzw. prymusa, czyli przenośnej kuchenki benzynowej. Nie wiem, kiedy i jak dotarliśmy do Karczewa. Pamiętam również, że na tutejszym

rynku zobaczyłem po raz ostatni polskich żołnierzy, kawalerzystów. Odpoczywali z końmi pod drzewami.

Kolejny obraz to ostrzeliwanie Karczewa. Wówczas zginął właściciel domu w rynku, który nas przygarnął. Mama opowiadała, że został rozstrzelany. Przez Niemców? A może przez polskich żołnierzy, którzy uznali go za szpiega?

Chroniliśmy się wówczas w jakiejś wielkiej piwnicy, w której wkrótce zobaczyłem pierwszego żołnierza niemieckiego. Dzisiaj wiem, że musiało się to zdarzyć 14 września, gdyż wtedy Niemcy zdobyli Otwock i Karczew. Z głębi piwnicy widać było schody na podwórko. Na ich szczycie pojawiły się najpierw wysokie buty, potem nieznany mi mundur, zielonkawy, wyraźnie innej barwy niż dopiero co oglądanych polskich żołnierzy, w końcu wycelowany w nas karabin i twarz żołnierza. Nic złego jednak się nie stało. Po jakiejś godzinie wyszliśmy na światło dzienne, mając za sobą kilka dni przesiadywania w piwnicy, z dużą gromadą nieznanych nam ludzi. Rozpoczęła się dla nas okupacja.

Do Warszawy wróciliśmy w pierwszych dniach października. Na wozie ciągniętym przez dwa konie. Wszędzie dookoła było wojsko niemieckie, na każdym placyku i skwerze stały krzyże z nasadzonymi na nie polskimi hełmami, co kilka kroków – uszkodzone lub doszczętnie zniszczone domy. Tramwaje nie jeździły. Dojechaliśmy pod dom przy ulicy Francuskiej. Tam zastaliśmy tylko ruiny nowiuteńkiej kamienicy. Przepadło piękne mieszkanie babci. W czasie oblężenia, chyba już 9 września, trafiła w dom bomba. Przebiła wszystkie stropy, aż do piwnicy. Babcia, wysyłając nas poza Warszawę, uratowała nam życie. Sama zaś przeżyła tylko dlatego, że dwa dni wcześniej przeniosła się na ulicę Wilczą, do mieszkania swojego partnera życiowego, Jana Wawrzynkowskiego, pracownika Lombardu Miejskiego, na wszelki wypadek zabierając ze sobą swoje dwa portrety, malowane przez Ludwika Kwiatkowskiego i Iwana Trusza. Tam też do niej dołączyliśmy.

Pod koniec października, gdy zaczęły funkcjonować koleje, wyjechaliśmy do Jasła, do wujostwa Madejewskich.

Ciocia Flossie Madejewska, najstarsza siostra mamy, jej mąż Ludwik i dwaj moi bracia cioteczni, Ludwik, powszechnie nazywany Dudusiem, oraz młodszy Zdzisław, mieszkali w Jaśle od kilku lat. Madejewscy wynajmowali najpierw parterowy dom w Ulaszowicach, na przedmieściu od strony Krakowa, na zachodnim brzegu rzeki Jasiołki, a później – należący do weterynarza dr. Mendyka z Gorlic – wygodny dom przy ulicy Mickiewicza, w samym sercu miasta, z dużym ogrodem, dochodzącym do kościoła zwanego kaplicą gimnazjalną. Naprzeciwko kościoła wznosił się okazały, z czerwonej cegły, gmach gimnazjum. Drugą stronę ulicy Mickiewicza zamykał kościół i klasztor oo. Franciszkanów.

Wuj Madejewski, podobnie jak w Stanisławowie, pełnił w Jaśle funkcję inspektora kopalnictwa naftowego. We wrześniu 1939 r., jak tysiące innych Polaków, wuj i obaj kuzyni wyruszyli na wschód. Dotarli



W ogrodzie u Madejewskich – od lewej: Barbara Lewandowska, babcia Helena Waltosiowa, SW (na bosaka), ciocia Flossie, mama z moim bratem Jackiem, tata i spaniel Sport, Jasło, 1940 [zbiory autora]

do Lwowa. Ciocia została w Jaśle. Wrócili cało kilka dni przed Bożym Narodzeniem 1939 r., po jakichś dramatycznych przejściach podczas przekraczania nielegalnie Sanu. Powrót do Jasła najprawdopodobniej ocalił ich przed wywózką na Syberię. Oczekiwał ich jednak znacznie bardziej tragiczny los pod okupacją niemiecką, ale to historia późniejsza. Na razie musieli przystosować się do nowych warunków egzystencji.

Ojciec dotarł do nas wcześniej, z końcem października. Po zajęciu Chorzowa przez Niemców ukrywał się przez kilka dni u dawnych uczniów, ale szczęśliwie gestapo go nie poszukiwało. Skorzystał z tego i szybko złożył podanie o zezwolenie na wyjazd do Generalnego Gubernatorstwa. Dostał je i w dodatku otrzymał zgodę na zabranie ze sobą dużego bagażu.

W listopadzie otworzył skład materiałów budowlanych przy uliczce prowadzącej do rynku w Jaśle. Był to złoty interes. Ojciec handlował głównie wapnem, gdyż nie było ono reglamentowane. Sprowadzał je z wapienników w Krakowie. Od czasu do czasu dostawał zgodę na handel drewnem budowlanym, papą i cegłą. Firma zatrudniała 3–4 osoby, a nam zapewniła dostatek aż do 1944 r. Korzystała z niego również dalsza rodzina, której ojciec nigdy nie odmawiał pomocy.

Jasło było jednym z najładniejszych miast galicyjskich. Założone na prawie niemieckim przez Kazimierza Wielkiego, z historią sięgającą jednak do XIII wieku, a zatem z rynkiem, ulicami prostopadle z niego wybiegającymi, nieciekawym w rynku gmachem starostwa oraz nieproporcjonalnie wysokim budynkiem magistratu. W pobliżu kościół parafialny, popularnie zwany farą. Bardzo przeciętna barokowa fasada oraz w podobnym stylu wystrój wnętrza otulały gotycką konstrukcję kościoła.

Miasto leży nad trzema zlewającymi się rzekami: Jasiołką, Ropą i Wisłoką. Dalej płynie już tylko Wisłoka. W tamtych latach woda w nich była czysta i pełna ryb. Również w trzech kierunkach rozchodziły się główne drogi biegnące z Jasła: na zachód do Gorlic i dalej do Nowego Sącza, na północ do Pilzna, Tarnowa i Krakowa oraz

na wschód do Krosna, Sanoka, Przemyśla i Lwowa. W trzech kierunkach biegły też linie kolejowe ze stacji w Jaśle: na północ do Rzeszowa, na wschód – do Lwowa, a na zachód przez Gorlice do Stróży, a stamtąd na południe do Nowego Sącza lub na północ do Tarnowa i Krakowa.

W mieście był spory park. Od południa przylegała do niego ulica, przy której wznosił się wielki budynek sądu okręgowego łączący się ze sporym kompleksem więziennym.

Cztery razy zmienialiśmy mieszkanie. Po jakiejś idiotycznej scysji taty z wujem Ludwikiem – obaj panowie nie lubili się chyba od pierwszej chwili – dość szybko opuściliśmy willę przy ulicy Mickiewicza. Tata znalazł pokój z kuchnią w Kowalowych, wsi tuż pod Jasłem, przy szosie do Pilzna i dalej do Krakowa. Stamtąd przenieśliśmy się pod koniec 1940 r. do Ulaszowic, przedmieścia Jasła. Przenosiny były dwukrotne. Najpierw do niewielkiego mieszkania na pięterku w willi Guni w Ulaszowicach, imienia właściciela domu nie pamiętam, po roku zaś – do wygodnego trzypokojowego mieszkania w sąsiednim domu rodziny Zimnych, reemigrantów ze Stanów.

W Jaśle zacząłem ponownie chodzić do szkoły. Oczywiście tylko dla chłopców. Szkoła mieściła się w centrum, w budynku powstałym jeszcze w latach c.k. Austrii, tuż naprzeciwko budynku „Sokoła". Przez wszystkie lata mojej jasielskiej edukacji nauczycielem większości przedmiotów był pan Józef Mordawski. Uczył matematyki, języka polskiego, przyrody, rysunków i śpiewu. Gdy prowadził lekcje śpiewu, podgrywał ładnie na skrzypcach. Mądry, przyjazny, bardzo przez nas lubiany.

Religii uczył ksiądz Dutkiewicz, szwagier Leona Króla, profesora zlikwidowanego przez Niemców gimnazjum i liceum ogólnokształcącego w Jaśle, po wojnie zaś – jego dyrektora. W programie nauczania nie było historii, języka obcego, chemii, biologii i geografii, zgodnie z hitlerowską zasadą, że podludziom niepotrzebna jest jakakolwiek wiedza o ich przeszłości i miejscu na ziemi. Nauczanie języka polskiego odbywało się z pomocą czasopisma „Ster", wydawanego przez władze GG.

Zapamiętałem zaledwie kilku kolegów: Runka, czyli Ireneusza Bieniowskiego, syna wysiedleńców w Pomorza, po latach podpułkownika, topografa wojskowego, Rysia Steca, syna maszynisty kolejowego, w przyszłości inżyniera elektryka w Warszawie, niestety „zgubił" mi się on gdzieś w latach 50. ubiegłego wieku, i przede wszystkim ulubieńca całej klasy Romka Friedmana, mojego serdecznego przyjaciela.

Jeżeli dobrze pamiętam, we wrześniu 1942 r. dołączył do klasy nowy kolega. Był nim właśnie Romek Friedman. Piekielnie zdolny, we wszystkich przedmiotach pozostawiał całą klasę daleko w tyle. Miał ujmujący, niezwykle przyjazny sposób bycia. Wkrótce zapanowała niepisana reguła, że we wszystkich bójkach oszczędza się Romka. Był jakby wyjęty z poszturchiwania, przezwisk, naigrawania się, psikusów szczenięcego wieku. Przyjechał z rodzicami, jak opowiadał, z Drohobycza, gdzie ojciec był urzędnikiem „Polminu", rafinerii ropy naftowej. Rodzice jego znaleźli zatrudnienie w Jaśle i chyba przez przypadek zamieszkali w tym samym domu, gdzie mieszkali Stecowie.

Romek często bywał u nas, w Ulaszowicach, oddzielonych Jasiołką od centrum miasta. Za każdym razem studiowaliśmy mapę Europy przybitą pluskiewkami do szafy i od 1943 r. z satysfakcją odszukiwaliśmy miejsca na wschodzie, z których wycofywały się wojska niemieckie. Pamiętam, jak komentowaliśmy wiadomości o wylądowaniu aliantów na Sycylii, a wkrótce we Włoszech, o zbliżaniu się wojsk sowieckich do polskiej granicy, oczywiście tej sprzed 1939 r. Romek był głęboko przekonany, że Niemcy padną ostatecznie w ciągu sześciu miesięcy. Lśniły mu oczy, gdy zapewniał, że tak się stanie.

W Jaśle miałem swój jakby prywatny dom kultury, a raczej bibliotekę z czytelnią. Był to gabinet połączony z sypialnią w domu wujostwa Madejewskich. Jedną ze ścian przykrywała wielka, oszklona szafa biblioteczna – a w niej książki, książki i książki. Wujostwo wydawali na nie spore pieniądze. Znajdowały się w ich zbiorach: cała Biblioteka Boya, Biblioteka Laureatów Nobla, prawie wszystkie dzieła Sienkiewicza,

Reymonta, poezje Mickiewicza i Słowackiego, pisma zebrane Józefa Piłsudskiego, książki z serii Cuda Polski i wiele, wiele innych. Ich liczba i dobór świadczyły o wielkim oczytaniu Madejewskich. A do tego trzy wielkie, brązowe fotele, czyli czytelnia. Korzystałem z niej za każdym razem, gdy z mamą składałem wizytę wujostwu. Po powitaniu szybko znikałem w gabinecie, wyszukiwałem książkę i zapadałem się w fotelu. Na szczęście ciocia Flossie pożyczała mi niektóre z nich do domu. Dzięki jej zaufaniu przeczytałem całą Trylogię.

W sierpniu 1943 r. rozniosło się po Jaśle, że oddział Armii Krajowej wdarł się do więzienia i uwolnił niemal 200 więźniów. Podobno akcja była tak udana, że wszystko odbyło się bez jednego wystrzału. Dowiedziałem się o tym od kolegów w szkole. W domu mówiło się o tym z podziwem, ale bez wdawania się w szczegóły. Zauważyłem jednak, że rodzice dość często konferowali na ten temat, starając się, aby nikt postronny nie usłyszał ich rozmowy. Najczęściej prowadzili ją w języku niemieckim. Wtedy byli pewni, że ucho jedenastolatka niczego nie wyłapie, a jego język nie przekaże dalej.

W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, 26 grudnia 1943 r., mój starszy brat cioteczny, Ludwik Madejewski, Duduś, ożenił się z Hanką Krząścikówną, dziewczyną urzekającej urody. W domu Madejewskich przy ulicy Mickiewicza wyprawiono wielkie, jak na tamte czasy, weselisko. Z tej okazji pogodzili się mój ojciec i wuj Ludwik. Święto było więc podwójne.

Pogodny nastrój rodzinny prysł dramatycznie tydzień po weselu. Trzeciego stycznia gestapowcy przyszli do domu przy Mickiewicza i zatrzymali ciocię Flossie. Pytali zresztą tylko o nią. W domu były jeszcze niedawno przybyłe z Sambora ciocia Edna Wyszatycka, młodsza siostra cioci Flossie, i jej siedemnastoletnia córka Krystyna. Duduś był w tym czasie w pokoju na poddaszu. Gdy usłyszał podniesione głosy w języku niemieckim, uchylił drzwi i z góry zobaczył gestapowców

przy matce. Zszedł na dół, zamiast uciekać przez balkon do ogrodu. Chyba nieco zaskoczony jego widokiem osławiony w Jaśle gestapowiec Teodor Drzyzga kazał mu się ubrać, po czym Niemcy zabrali oboje do samochodu stojącego pod domem. Zawieziono ich do siedziby gestapo w przedwojennej bursie gimnazjalnej.

W tym samym dniu Niemcy zatrzymali wuja Ludwika w biurze Karpathen Öl. Zdziś miał w tym dniu wolne po szychcie na kopalni nafty w Harklowej, był u kogoś w mieście, potem zaszedł do biura przedsiębiorstwa mojego ojca i tam dotarła do niego wiadomość, że matkę i brata zabrało gestapo. O aresztowaniu ojca chyba jeszcze nie wiedział. Od tej chwili zaczęły biec godziny całkowitej bezradności jego i całej naszej rodziny. Plątał się po mieście, nie wiedział, czy ma wracać do domu, czy gdzieś się ukryć. Poszedł w końcu do jakiegoś znajomego, tam znalazła go Krysia i za radą swojej matki, czyli cioci Edny, przyprowadziła do domu. Nie upłynęło chyba więcej jak kilkanaście minut, gdy przyszedł po niego Drzyzga. Podobno – tak mi opowiadała mama – zabierając go na gestapo, dziwił się, że Zdziś wszedł sam w ich ręce.

Przyczyna aresztowania rodziny Madejewskich stała się prawie natychmiast tajemnicą publiczną w Jaśle. Rozniosło się po mieście, że w ich domu znajdowała się kwatera sztabu przygotowującego operację uwolnienia więźniów z jasielskiego więzienia w nocy z 5 na 6 sierpnia 1943 r. Okazało się, że mama była przez ciotkę we wszystko wtajemniczona. To, co mama opowiedziała mi później, zaraz po wojnie, było w pełni wiarygodne, tym bardziej że miała znakomitą, fotograficzną pamięć do bardzo późnej starości, aż do chwili nieszczęsnego udaru trzy lata przed śmiercią – w 2001 r. Jej opowieść zgadzała się bowiem w prawie wszystkich szczegółach z relacjami Stanisława Dąbrowy-Kostki, uczestnika tej akcji.

Dowódcą jednostki AK, której polecono przeprowadzenie akcji w więzieniu jasielskim, był Zenon Sobota „Korczak". Jej członkowie spotykali się w domu Madejewskich, tam był ich główny punkt kontaktowy. Ciocia Flossie miała pseudonim „Łukaszowa", a wuj

oczywiście – „Łukasz", aby łatwiej można było zgadnąć. Wuj, pracujący w niemieckiej firmie Karpathen Öl, zajmował się wywiadem. Zbierał dane o wydobyciu ropy naftowej i przekazywał je dalej, komu należy, w AK. Duduś także był członkiem AK, ale nie brał udziału w akcji. Zdzisia zaś kontakty z konspiracją były niewielkie, jeszcze nie zaangażował się w nią tak jak starszy brat. Takiego zdania była mama, choć fakty mogły być inne.

Do grupy Zenona Soboty należeli też m.in. Stanisław Dąbrowa-Kostka i dwaj bracia Magurowie z Krosna, zwerbowani prawdopodobnie przez dowódcę, który pochodził z tego miasta. Bracia zostali aresztowani dzień po aresztowaniu Madejewskich. Dąbrowa-Kostka zdążył umknąć. W tym samym czasie Niemcy dopadli jeszcze jednego uczestnika akcji – Pietruszkę, strażnika więzienia jasielskiego.

Dzisiaj już wiadomo, że gestapo dowiedziało się bardzo szybko z czyjegoś donosu, gdzie szukać sprawców uwolnienia więźniów. Wtedy też założyło punkt obserwacyjny w budynku gimnazjum po przeciwnej stronie ulicy. Z aresztowaniem Niemcy czekali do stycznia 1944 r.

Dom zamieszkały przez Madejewskich, oznaczony numerem 2, jak już pisałem, znajdował się w ogrodzie ciągnącym się wzdłuż ulicy Mickiewicza – od kaplicy gimnazjalnej aż po domy piętrowe, prawie *vis à vis* ówczesnego kościoła i klasztoru Franciszkanów. Furtka w ogrodzeniu z malowanych na biało sztachet była jedynym wejściem na posesję na długim odcinku pustawej ulicy. Każdy, kto wchodził i wychodził, był na niej dobrze widoczny. Wystarczyło ustawić w gimnazjum obserwatora z lornetką i aparatem fotograficznym, aby mieć stały przegląd osób wchodzących do domu Madejewskich i wychodzących z niego. Wybranie takiego domu na tajny punkt kontaktowy nie świadczyło o szczególnej przezorności kierownictwa akcji.

Dalszy los Madejewskich był wielokrotnie opisywany. Najpierw wszystkich aresztowanych przetrzymywano w Jaśle, a kilka dni później wywieziono do Krakowa i osadzono w więzieniu przy ulicy

Montelupich. Ciocię Niemcy przywieźli w marcu z powrotem do Jasła. 30 lub 31 marca została rozstrzelana w lesie w Warzycach. Po wojnie udało się zidentyfikować miejsce, gdzie gestapowcy pogrzebali jej zwłoki. Wuj, Duduś, Zdziś, Magurowie i Pietruszka zginęli najprawdopodobniej wcześniej, z końcem lutego. Nie wiadomo, gdzie się to stało. Wojnę przeżyli Zenon Sobota i Stanisław Dąbrowa-Kostka.

Niemcy wkrótce usunęli ciocię Ednę i Krysię z domu przy ulicy Mickiewicza, po czym skonfiskowali całe jego wyposażenie. Ocalał tylko Sport. Tak wabił się pies Madejewskich. Śliczny rosły spaniel, chodząca ufność do ludzi. Mama przyprowadziła go do naszego mieszkania w domu na Ulaszowicach. Pies urywał się jednak spod naszej opieki i co kilka dni biegł przez miasto, bezbłędnie docierał na ulicę Mickiewicza, próbował łapą otworzyć furtkę, siadał pod nią, skomlał, a i niekiedy wył, po czym powoli dreptał z powrotem do Ulaszowic. W końcu, po upływie mniej więcej miesiąca, pogodził się z nowym życiem.

Ocalały także fortepian, na którym lata temu grywała moja babcia Mac Intosh, oraz biblioteka, ponad tysiąc woluminów, o której już była mowa. Ojciec otrzymał zgodę na zabranie ich z domu Madejewskich. Nie było jednak dane bibliotece przetrwać wojnę w całości, ale o tym za chwilę.

Chyba w kwietniu 1944 r. doszło do kolejnej tragedii, która równie boleśnie tkwi do dziś w mojej pamięci. Stało się to wtedy, gdy nasza szkoła została wyrzucona przez Niemców z jej gmachu w centrum Jasła. Zajął go Wehrmacht. Lekcje przeniesiono wówczas do szkoły w Sobniowie, wsi oddalonej jakieś cztery kilometry od Jasła w kierunku południowo-wschodnim. Dzisiaj Sobniów włączony jest w granice administracyjne Jasła, znajduje się tam duże osiedle mieszkaniowe, brzydkie jak wszystkie inne powstałe w latach PRL.

Przybyły nam dwie godziny marszu dziennie – do szkoły i z powrotem. Droga prowadziła do Sobniowa przez przejazd kolejowy, za którym biegły tory podkarpackiej linii kolejowej. Była to już wiosna

roku 1944. Prawie codziennie widzieliśmy wagony pełne rannych żołnierzy niemieckich w pociągach jadących do Jasła i dalej.

Pewnego dnia owego kwietnia Rysiek Stec przyszedł do szkoły z makabryczną wiadomością:

– Wczoraj w naszym domu pojawili się gestapowcy. Zapytali tylko: Gdzie są ci Żydzi, Friedmanowie?

– Jacy Żydzi? Przecież to Polacy – odparła mama Ryśka.

Friedmanowie mieszkali po drugiej stronie sieni. Niemcy wdarli się do ich mieszkania i natychmiast, po bardzo pobieżnym przeszukaniu, zabrali ich ze sobą. Mamę, tatę i Romka. Zawieźli ich od razu na kirkut, gdzie rozstrzeliwali ukrywających się Żydów.

Tam – opowiadał Rysiek, który miał jakąś relację od przygodnego świadka – pani Friedmanowa krzyknęła do Romka: – Uciekaj, ratuj się! – Romek rzucił się do ucieczki, biegł rozpaczliwie wzdłuż muru. Niestety dosięgły go kule gestapowców. Zaraz potem zginęli jego rodzice.

Steców gestapowcy pozostawili w spokoju, gdyż Friedmanowie się nie ukrywali. Wynajmowali oficjalnie mieszkanie, ojciec Romka pracował w rafinerii w Nagłowicach pod Jasłem, mama gdzieś w mieście, a chłopiec chodził do szkoły. Spolszczeni byli zupełnie. Nazwiska rodowego nie zmienili. Wychodzili chyba z założenia, że utopi się ono wśród wielu innych mających niemiecki rodowód. Rysiek opowiadał mi później, że ktoś z sąsiadów doniósł na gestapo. Kto? Tego nikt nie doszedł ani wtedy, ani po wojnie. Jeszcze jeden donos spośród dziesiątków, a może i setek tysięcy, w wyniku których ginęli Żydzi próbujący przeżyć po tzw. aryjskiej stronie.

Chyba na drugi lub trzeci dzień odbywała się lekcja religii. Katechetą był ks. Dutkiewicz z Jasła, brat pani Królowej, żony profesora gimnazjalnego w Jaśle.

Ksiądz Dutkiewicz, duży mężczyzna w wieku około 40–50 lat, jeszcze nie zdążył powiesić płaszcza na wieszaku, gdy usłyszał głosy chłopców:

– Proszę księdza, proszę księdza, Romek Friedman nie żyje!

– Rany boskie, co się stało?

– Niemcy zastrzelili go na kirkucie z rodzicami, okazało się, że są Żydami!

– Eee, żydek! Aha, o czym ostatnim razem mówiliśmy na lekcji religii?

Tylko tyle miał do powiedzenia. Włos z głowy by mu nie spadł, gdyby odmówił z nami „Ojcze nasz" za duszę Romka, jego ulubionego ministranta. Nie zdobył się na jedno dobre zdanie, nawet na kilka słów. Opowiedziałem w domu, jak ks. Dutkiewicz zareagował na wiadomość o śmierci Romka. Mama, która spotykała go niekiedy u Królów, nigdy więcej nie podała mu ręki.

W połowie 1944 r. zaczęły spadać na Jasło bomby sowieckie. Co kilka nocy nadlatywały nad miasto kukuruźniki, czyli dwupłatowce Po-2. Najpierw zrzucały flary, potem bomby, które spadały na chybił trafił, zabijając niewinnych ludzi, niszcząc budynki. Nie słyszałem, aby były atakowane dworzec kolejowy, rafineria w Nagłowicach lub fabryka amunicji Gamrat w Krajowcach, tuż pod Jasłem. To było klasyczne bezmyślne zrzucanie bomb, gdzie popadło – uprawiane przez sowieckie lotnictwo między innymi nad Warszawą bardziej w celu akcentowania swojej obecności militarnej niż wyrządzenia szkód Niemcom. Płaciła za to przede wszystkim ludność cywilna.

W tym samym czasie widać było w mieście coraz więcej żołnierzy niemieckich. Front powoli zbliżał się do Lwowa. Nie tylko naszą szkołę, lecz także wszystkie budynki publiczne zajął Wehrmacht. W końcu sięgnął po mieszkania prywatne, przede wszystkim w Ulaszowicach. Padło zatem i na nas.

Żołnierze zabrali nam mieszkanie, łaskawie pozwalając gospodarzom pozostać na piętrze. Nam dano kilka godzin na wyniesienie się, przykazując, że wszystkie meble mają pozostać na miejscu. Udało się tylko znieść do piwnicy obrazy i jakieś pomniejsze sprzęty, a bibliotekę po Madejewskich schować w dużej komórce na półpiętrze. Wtedy

została przetrzebiona jej część anglojęzyczna. Zdaje się, że wśród żołnierzy niemieckich, którzy mieli swobodny dostęp do komórki, był amator takich książek. Już po wyzwoleniu dobierali się do pozostałych książek i inni. Ocalały tylko szczątki, a wśród nich cała Biblioteka Boya w pięknych niebieskich oprawach. Tłumaczenia literatury francuskiej nie były żadną atrakcją dla amatorów biblioteki po Madejewskich…

Rodzice postanowili wówczas poszukać jakiegoś lokum w Gorajowicach, pobliskiej wsi. Znaleźli je w gospodarstwie Banasiów, gdzie zamieszkaliśmy z końcem czerwca. Ojciec jednak nadal prowadził przedsiębiorstwo. Jeszcze w sierpniu koleją dochodziły zamówione transporty wapna z wapienników podkrakowskich.

W pierwszych dniach września rodzice, spodziewając się lada dzień zdobycia miasta przez wojska sowieckie, woleli na wszelki wypadek wrócić do miasta. Ponieważ mieszkanie w Ulaszowicach było zajęte przez Wehrmacht, rozglądali się za jakimś innym, choćby na kilka dni, do czasu, gdy Armia Radziecka wkroczy do miasta. Zdobycie Jasła przez Sowietów dla wszystkich było oczywistością, miała to być kwestia najwyżej tygodnia.

Lokum znalazło się w jakiejś opustoszałej willi, tuż obok dworca kolejowego. I zaczęło się. Ledwie się tam wprowadziliśmy, Sowieci rozpoczęli ostrzeliwanie dworca kolejowego na zmianę z bombardowaniem Jasła. Mama wówczas kryła się w ten sposób, że głowę przykrywała poduszką, a Jacka i mnie jego niania, Basia Krzyżanowska, sprowadzała do piwnicy. Mieliśmy wiele szczęścia. Bomby nie trafiły w dom.

Trzynastego września Niemcy ogłosili nakaz wysiedlenia całej ludności z Jasła, dając czas na opuszczenie miasta do godziny 18.00 dnia 15 września. Zachowały się dwujęzyczne plakaty oznajmiające ten nakaz. Ich osobliwością było pominięcie w tekście polskim informacji, że mieszkańcy mogą ewakuować się razem z ich dobrem. Pouczenie to wydrukowane było tylko w języku niemieckim.

Ewakuacja miała odbywać się w kierunku Biecza i Gorlic, a więc na zachód. Z tego powodu powrót do Gorajowic, położonych

na północny wschód od Jasła, już nie wchodził w rachubę. Trzeba było szukać innej wsi. Ojciec zdecydował, że najlepiej będzie przeczekać czas do wyzwolenia w Lipnicy, niedaleko Skołyszyna. Miał tam znajomego właściciela dużego gospodarstwa, który często kupował materiały budowlane. Tam więc jakąś furką dojechaliśmy i tam przez półtora miesiąca przemieszkiwaliśmy. Nie my jedni. W co drugiej chałupie gnieździli się wysiedleni z Jasła. Ofensywa sowiecka zaś stanęła w miejscu.

W pierwszych dniach października dotarły do nas egzemplarze osławionej gadzinówki „Goniec Krakowski", w których Niemcy z satysfakcją informowali o klęsce powstania w Warszawie.

Zmrok zapadał wcześnie i na niebie widoczne były łuny od strony Jasła. Doszły wówczas do nas wieści, że tuż po 15 września Niemcy rozpoczęli metodyczne, ulica po ulicy, palenie miasta, że wysadzili w powietrze gmachy Banku Polskiego, poczty, magistratu, starostwa, sądów, więzienia i inne większe budynki. Podobno akcją kierował niemiecki starosta dr Walther Gentz. W gruzach legło 97% miasta, które pod rządami Gentza na pozór wypiękniało. Dobrze pamiętam wyłożony na gładko płytami Rynek, wybrukowaną ulicę od mostu na Jasiołce do Rynku i ulice 3 Maja oraz Kościuszki. Ta ostatnia wyłożona była macewami z cmentarza żydowskiego.

Już wtedy zastanawiałem się, dlaczego Niemcy niszczyli miasto, marnując materiały wybuchowe i naftę, na których brak zaczynali już dotkliwie cierpieć. Po co im to było? Czy pytano o to Gentza, żyjącego po wojnie spokojnie w Westfalii i robiącego karierę w administracji landu Nordrhein-Westfalen, gdy w końcu w 1963 r. wreszcie wszczęto przeciwko niemu postępowanie karne i osadzono w areszcie w Düsseldorfie? Oskarżony został wówczas o udział w mordowaniu Żydów. Do skazania go, niestety, nie doszło. Wymierzył sobie sam sprawiedliwość, popełniając w areszcie samobójstwo w 1967 r.

Mogłem sam sobie na to pytanie po latach odpowiedzieć. W roku 2004 wygłaszałem odczyt w tamtejszej Nordrhein-Westfälische

Akademie der Wissenschaften. Trzeba było przy okazji wybrać się do archiwum przechowującego akta prokuratorskie i zapoznać się z protokołem przesłuchania Gentza. Wtedy jednak jeszcze nie myślałem o wpisywaniu do komputera wspomnień z czasów młodości… Pozostaje tylko domyślać się, że Gentzem kierowało poczucie rozgoryczenia i wściekłości na „podludzi" z barbarzyńskiego Wschodu, którym musiał oddać miasto wypieszczone przez Trzecią Rzeszę. Paląc Jasło, równocześnie zdradzał przekonanie, że Niemcy tych terenów już nie odzyskają.

Pod koniec września 1944 r. zaczęła rosnąć fala napadów rabunkowych na wysiedleńców. Bandyci, niestety z orzełkami na furażerkach, zabierali im resztki kosztowności i pieniądze. Ilu z nich było rzeczywiście partyzantami, tego się nie dowiemy. Już byli pierwsi pomordowani. Ojciec postanowił wtedy, że trzeba się schronić w jakimś mieście. Wieś stawała się dla byłych miastowych z dnia na dzień coraz bardziej niebezpieczna.

W połowie października 1944 r. ojciec jakimś cudem załatwił na stacji kolejowej w Skołyszynie koło Biecza kryty wagon towarowy, do którego z resztkami dobytku zapakowała się nasza rodzina oraz dr Trojnar z żoną. Byli to znajomi rodziców, także mieszkający dotychczas w Ulaszowicach w Jaśle, w bardzo pięknej willi, wybudowanej kilka lat przed wojną. Tuż przed nocą wagon doczepiono do pociągu towarowego i rano dojechaliśmy na stację Kraków Płaszów.

Wprowadziliśmy się do sutereny przy ulicy Gazowej nr 10 na Kazimierzu. Znowu tajemnicą ojca pozostanie, skąd wytrzasnął ten adres i ile zapłacił za jej używanie. Była to ciemna, wilgotna nora o powierzchni około 15 metrów kwadratowych, z trzema żelaznymi łóżkami, odrapanym stołem, kilkoma stołkami. Okno znajdowało się na poziomie ulicy. W kącie piec kuchenny, obok niego zlew z wodą. Ubikacja była w podwórzu – aby do niej dotrzeć, należało pokonać schodki biegnące raz do góry, raz w dół, pod uważnym spojrzeniem szczurów.

Do tego „mieszkania" wprowadziliśmy się: rodzice, sześcioletni wówczas Jacek, jego niania Basia Krzyżanowska, ja i oczywiście Sport, który natychmiast rzucił się w pogoń za szczurami.

Miałem wtedy 12 lat i naturalną w tym wieku gotowość do pokonywania wszelkich przeciwności losu, ale nawet i mnie perspektywy wegetacji w takich warunkach nie wydawały się szczególnie sympatyczne. Wszystkie niedogodności życia łagodziła jednak myśl, że zbliża się nieuchronnie koniec wojny i że klęska Niemiec jest kwestią najbliższych miesięcy.

Dwa dni po urządzeniu się w nowym lokum zaszła do nas Basia Lewandowska, matka chrzestna Jacka, serdeczna przyjaciółka rodziców z przedwojennych lat w Chorzowie. Ręce załamała, gdy zobaczyła „naszą" suterenę. Natychmiast, przy dość wstrzemięźliwym oporze moich rodziców, zabrała nas do swojego trzypokojowego mieszkania, niestety w amfiladzie, na pierwszym piętrze kamienicy pod numerem 12 przy Rynku Podgórskim, tuż przy kościele św. Józefa. Pani Basia mieszkała w nim ze swoją bardzo leciwą matką, wypatrując dnia, w którym skończy się wojna i z oflagu w Woldenbergu (dzisiaj Dobiegniewo) wróci jej mąż. Sama 3 lata wcześniej została wyrzucona z mieszkania przy ulicy Siemiradzkiego, aby zrobić miejsce dla Niemców.

Zmieściliśmy się w największym, pierwszym od kuchni pokoju. Ojciec chyba już drugiego albo trzeciego dnia po wprowadzeniu się do nowego lokum wyjechał do Gorlic, gdzie prowadził bliżej mi nieznane interesy, jako że wszyscy żyli z uprawiania handlu i uczestniczenia w nieraz bardzo długich łańcuchach pośrednictwa. Obiecał oczywiście, że będzie przesyłał to, co zarobi.

Tydzień potem straciliśmy Sporta. Niestety, pies był żarłoczny, nie zawsze trzymany na smyczy, a że gonił za kotami – stało się nieszczęście. Prawdopodobnie ktoś podrzucił na podwórzu truciznę na szczury w resztkach jedzenia. Biedne psisko męczyło się bardzo; weterynarz, do którego z mamą go zawieźliśmy, nie dawał mu żadnych szans. Miał niestety rację. Zerwała się ostatnia żywa nić łącząca nas z Madejewskimi.

Wróciłem do szkoły. Mama zapisała mnie do VII klasy w szkole podstawowej – mówiło się wówczas „publicznej" – przy ulicy Zamoyskiego, tuż przy kościele oo. Redemptorystów. Lekcje odbywały się przemiennie. Jednego dnia przed południem, drugiego po południu i tak dalej, aż do soboty włącznie. Dysponowałem więc na zmianę wolnymi przedpołudniami i popołudniami.

Nasza sytuacja majątkowa, jak się to ładnie mówi, była raczej złożona. Cztery osoby musiały się utrzymać z tego, co ojciec zostawił mamie, wyjeżdżając do Gorlic. Jak mama po cichu mi powiedziała, pieniędzy miała niewiele, a za żadną cenę nie chciała wypruć z płaszcza kilku monet trzymanych na tzw. czarną godzinę.

Postanowiłem wtedy wejść w rolę dorosłego członka rodziny. Umyśliłem sobie, że będę sprzedawać gazety i że z tego będziemy żyć, a w każdym razie, że będzie z tego jakiś dochód. Szybko dowiedziałem się, że do dyspozycji były tylko dwie: „Krakauer Zeitung" ukazujący się wcześnie rano i gadzinówka hitlerowska „Goniec Krakowski", popularnie nazywany podogońcem, wydawany około 15.00.

Chyba już następnego dnia zgłosiłem się pod Pałac Prasy, czyli dawny IKC, u zbiegu ulic Wielopole i Starowiślnej. Tam drukowano obie gazety i tam gazeciarzom, chłopcom mniej więcej w moim wieku, sprzedawały je dwie kobiety, które pośredniczyły między gazeciarzami a punktem dystrybucji dopiero co wydrukowanych gazet. Do tego punktu, mieszczącego się za bramą, tylko one miały dostęp. Sprzedaż gazet gazeciarzom odbywała się na chodniku, pod bramą od strony ulicy Wielopole, naprzeciwko dzisiejszego hotelu Holiday Inn.

Zaopatrzony przez mamę w 20 złotych i jakieś grosze kupiłem plik 50 „Gońców". Zapłaciłem za nie aż 25 złotych. Oficjalnie cena jednego numeru wynosiła 25 groszy. Taka była wydrukowana na pierwszej stronie numeru. Obie kobiety sprzedawały nam „Gońca" po 50 groszy. Nie pozostawało więc nam nic innego, jak dobijać kolejne 50 groszy do każdego egzemplarza. W ten sposób cena numeru „Gońca Krakowskiego" u gazeciarza wzrastała do jednego złotego i nikt tej ceny nie kwestionował.

Im szybciej gazeciarz ruszał w miasto, im prędzej znalazł się w tramwaju, tym miał większe szanse na sprzedanie swojego pliku. Jeżeli w ciągu dwóch godzin nie sprzedałem całego pliku, to szanse na sprzedanie pozostałości dramatycznie spadały. Jeżeli brało się do sprzedaży nie 50, ale 100 egzemplarzy, to trzeba było się dobrze nabiegać, zmieniać po kilka razy tramwaje, a równocześnie dobrze rozglądać się na prawo i lewo. Koledzy opowiadali mi, że nieraz padali ofiarami rabunków. Mnie to na szczęście ominęło.

W Muzeum Krakowa, w Oddziale Fabryka Emalia Oskara Schindlera przy ulicy Lipowej, można zobaczyć fragment filmowej kroniki niemieckiej z tamtych czasów, *Die Deutsche Wochenschau*, pokazującej wybiegających spod Pałacu Prasy chłopców z plikami gazet. Z pewnością nie ma mnie wśród nich, zapamiętałbym filmowanie.

Nigdy nie wybierałem się z gazetami na Kazimierz ani do dzielnicy niemieckiej, czyli w rejon parku Krakowskiego, ulic Lea, Szymanowskiego, Wybickiego, dzisiejszej Królewskiej. Najlepiej szły gazety w Starym Mieście, koło Dworca Głównego, w rejonie Kleparza, a w tramwajach – jeżeli nie było w nich tłoku.

Po kilku dniach sprzedawania, solidnie umęczony, zacząłem przynosić do domu jakieś pieniądze, za każdym razem skrupulatnie odkładając należność na kolejną partię gazet.

Pamiętam, jak raz znalazłem się w łapance i niewiele brakowało, aby źle się to skończyło. Był grudzień, tkwiłem z gazetami w tramwaju nr 6 jadącym ulicą Lwowską w kierunku Płaszowa. Byłem wściekły, że wpakowałem się do tego tramwaju, zaraz za Trzecim Mostem. Poszedł tylko jeden egzemplarz, nikogo gazety nie interesowały. Chciałem nawet w biegu wyskoczyć, już się do tego przymierzałem, gdy tramwaj gwałtownie zahamował. Zatrzymali go żandarmi niemieccy. Kazali nam wszystkim wyjść, stanąć na chodniku i pokazać kenkarty. Obok stał już ciężarowy samochód, do którego co chwilę kogoś zabierano. Tak się złożyło, że na końcu szeregu stał jakiś chłopak w moim wieku i ja. Chłopak nie miał żadnego dokumentu. Natychmiast wsadzono go

do budy. Miałem przy sobie mocno wymiętą legitymację szkoły podstawowej w Krakowie. Żandarm skrzywił się, ale gdy przyjrzał się plikowi niesprzedanych gazet, machnął ręką i usłyszałem: *Los!* Byłem wolny.

Pilnowałem jednak skrupulatnie godziny policyjnej. O ile sobie przypominam, była to godzina 20.00. Wiek nie odgrywał żadnej roli w przypadku złapania przez patrol żandarmerii lub policji granatowej.

Tymczasem mieszkanie w Rynku Podgórskim zapełniało się warszawiakami, krewnymi pani Basi Lewandowskiej. Dzielnie przyjmowała kolejnych nieszczęśników do trzech pokojów z kuchnią. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia miałem wrażenie, że tak musiała wyglądać arka Noego.

Na święta tata przyjechał z Gorlic. Pociągi jeszcze w tym czasie jeździły regularnie. Nie wiem, jak wcisnął się do przepełnionego mieszkania. Mój brat dobrze zapamiętał jego obecność w czasie Wigilii. Domowym obyczajem zażądał, aby najmłodszy z obecnych, czyli Jacuś, głośno odmówił „Ojcze nasz". Malec się rozpłakał. Wstydził się, onieśmielali go dorośli, których większości nie znał. Nie pamiętam, czym się to skończyło, ale uraz po tym zdarzeniu pozostał mu na wiele lat, a pamięć je zachowała do dzisiaj. Ojciec zaraz po świętach wrócił do Gorlic, a my za kilka dni witaliśmy nowy rok 1945. Pamiętam życzenia, jakie sobie wówczas składano. Były zawsze te same: oby wreszcie przyszli Rosjanie!

W styczniu zima zaczęła coraz bardziej o sobie przypominać. Ulice przykrył wprawdzie niewielki śnieg, ale mróz był już duży i skuł Wisłę lodem.

W sobotę, 13 stycznia, dotarła do nas jakaś wiadomość, że wreszcie ruszyła wielka ofensywa rosyjska i że toczą się na Wschodzie wielkie walki. Najprawdopodobniej pochodziła z radia, gdzieś przez kogoś słuchanego potajemnie. We wtorek, 16 stycznia, idąc ulicą Zamoyskiego do szkoły, niespodziewanie zobaczyłem nisko latające nad Podgórzem samoloty z czerwonymi gwiazdami. W szkole mój przyjaciel Olek

Paszyński powiedział mi, że Rosjanie rozpoczęli wielką ofensywę znad Wisły, walki toczą się podobno wzdłuż całego frontu. Następnego dnia już nie poszliśmy do szkoły. Skończyło się także sprzedawanie gazet.

Wbrew temu, co po latach głosiła oficjalna propaganda PRL, na Kraków padały bomby z samolotów sowieckich, a gdy wojska sowieckie zbliżyły się do miasta od północy i zachodu – także pociski artyleryjskie. Gdyby było inaczej, nie chowalibyśmy się w piwnicach przez co najmniej dwa albo trzy dni. Dla komunikacji i ułatwienia ucieczki poprzebijano wówczas przejścia między piwnicami.

Najdłużej Niemcy zajmowali Podgórze, dzielnicę prawobrzeżną Krakowa, czyli akurat tę, w której mieszkaliśmy, a także Łagiewniki, Borek Fałęcki, Opatkowice.

W nocy, na 19 stycznia, zadrżały stropy piwnicy naszej kamienicy, rozległy się przeraźliwe huki, jeden, drugi, potem następne. To nie były bomby. Ktoś mruknął w piwnicy: – Oho, wysadzają mosty. Miał rację. Niemcy wysadzili wszystkie mosty na Wiśle, a także wiadukt kolejowy nad ulicą Kopernika. Zdaje się, że wówczas także zniknął prąd w sieci elektrycznej.

Wisła jednak była skuta lodem i to po nim wojska sowieckie wdarły się na Podgórze. Stało się to przed południem, w piątek 19 stycznia 1945 r. Nie zważając na powstrzymywanie mnie przez mamę, wyjrzałem na Rynek Podgórski przez uchyloną bramę, razem z jakimiś dwoma dorosłymi mieszkańcami naszej kamienicy. Najpierw zobaczyłem leżący tuż przed domem duży kawał kratownicy. Nie było wątpliwości, że to fragment mostu Piłsudskiego, wysadzonego w powietrze przez Niemców. Przeleciał od Wisły na sam koniec Rynku Podgórskiego! Zaraz potem rzucił się nam w oczy drugi widok, na jaki czekaliśmy ponad 5 lat – pod gimnazjum na rogu Rynku Podgórskiego i ulicy Zamoyskiego, zamienionym na koszary Wehrmachtu, stało kilku żołnierzy niemieckich z rękami uniesionymi do góry. Naprzeciwko nich stała grupa żołnierzy sowieckich z karabinami skierowanymi w ich stronę.

Pod szczątki mostu Piłsudskiego, do którego było najbliżej, dotarłem razem z mamą dopiero następnego dnia. Na bardzo widocznym miejscu leżały zwłoki dwóch żołnierzy niemieckich, tylko w skarpetach. Ktoś zdążył już ukraść dobre buty wojskowe. Na ulicy Kalwaryjskiej stały jeden za drugim unieruchomione tramwaje, wszędzie kręciły się rozmaite indywidua, które z zapałem łupiły rozbite sklepy na tejże ulicy. Rozpętało się masowe plądrowanie sklepów, nie tylko poniemieckich, oraz fabryk i magazynów.

Przez miasto ciągnęły kolumny żołnierzy sowieckich. Zdziwiony patrzyłem na ich mundury, czapki uszanki, płaszcze ucięte u dołu, a nie obrębione jak u Niemców, worki płócienne na plecach.

Kilka dni później do drzwi naszego mieszkania, wieczorem, zapukali trzej żołnierze sowieccy. Chcieli przenocować pod jakimś dachem. Robili wrażenie straszliwie zmęczonych i zmarzniętych. Rozgościli się w kuchni, coś tam zjedli ze swojego prowiantu, mama zrobiła im herbatę z obierek jabłek, bo taką wówczas pijaliśmy, i zwalili się na podłogę, natychmiast zasypiając. Rano już ich nie było.

Do Krakowa lewobrzeżnego można było się przedostać tylko ścieżką w śniegu po zamarzniętej Wiśle. W ten sposób dotarłem z mamą kilka dni później na ulicę Krakowską, potem przez Stradom i Grodzką do Rynku. Tramwaje nie jeździły, chyba prądu jeszcze nie było w mieście, po raz pierwszy po ponad pięciu latach zobaczyłem polskie flagi. W Rynku stały wycelowane w niebo armaty przeciwlotnicze, tam też dostrzegłem po raz pierwszy polskich żołnierzy. Ludzie przypatrywali się orzełkom bez koron na ich czapkach, zagadywali ich, aby przekonać się, czy są to rzeczywiście Polacy.

Cokolwiek by powiedzieć o wszelkich uwarunkowaniach politycznych, dookoła odczuwało się ulgę, radość, że nie ma już Niemców, że nie grozi łapanka, aresztowanie, zesłanie do obozu koncentracyjnego. Znikł strach przed stawianiem w każdej chwili przypadkowych ludzi pod ścianą. Świeże w pamięci krakowian były makabryczny mord

na około 80 mieszkańcach Dąbia w dniu 15 stycznia 1945 r., wywleczonych z domów przy ulicy Miedzianej, i masowe egzekucje na rogu ulic Lubicz i Botanicznej. Były to dni wyzwolenia – bez względu na to, co miało po nich nastąpić. Zbyt silna była pamięć koszmaru okupacji niemieckiej, aby w tamtych dniach nie cieszyć się polskimi flagami i zniknięciem przeklętych mundurów *feldgrau* z ulic. Ponurą „pamiątką" po Niemcach był okrągły słup ogłoszeniowy stojący tuż przy bramie naszej kamienicy. Oklejony był oficjalnymi niemiecko-polskimi ogłoszeniami, *Bekanntmachung*, informującymi, że takie a takie osoby zostały ujęte przez siły porządkowe GG i skazane na karę śmierci „oraz przewidziane do ułaskawienia, jeżeli akty terroru się nie powtórzą".

Miasto zaś bardzo szybko wracało do jakiej takiej normalności.

Chyba na początku lutego mama zapisała mnie do pierwszej klasy Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki przy ulicy Zamoyskiego, tuż przy Rynku Podgórskim. Miałem do niego blisko – o przysłowiowy rzut kamieniem. Zaczęła się nauka, tym razem według programu przedwojennego, z historią, literaturą polską, geografią, biologią. Natychmiast także wstąpiłem do harcerstwa.

W tym czasie ojciec wrócił do nas z Gorlic. Wybiedzony, zmaltretowany, z niewyraźną miną wydobył z plecaka worek płócienny pełny „bezugszajnów", czyli kuponów uprawniających do odbioru wódki przysługujących rolnikom, którzy wywiązali się z oddania do punktu skupu wyznaczonych kontyngentów produktów rolnych. Ojciec skupował je w Gorlicach z myślą o odebraniu wódki w Krakowie i sprzedaży jej z potężnym zyskiem. Wszystko szło dobrze – worek wypełniał się „bezugszajnami" i lada dzień ojciec miał wyruszyć w drogę do Krakowa, by zrobić tam niezły interes. Nie uzgodnił jednak daty wyjazdu z Główną Kwaterą Armii Radzieckiej w Moskwie, a szczególnie z towarzyszem Józefem Wissarionowiczem Stalinem. 12 stycznia 1945 r. ruszyła wielka ofensywa wojsk sowieckich i cztery dni później skończyła się okupacja niemiecka Gorlic… Tata nigdy nie przyznał się,

czy nie żałował, że okupacja GG nie trwała na przykład o miesiąc dłużej. Jego przypadek jest jednak dobrą ilustracją zasady, stosownie do której każde wydarzenie historyczne jest bilansem zysków i strat jego uczestników.

Mama, przyglądając się workowi, westchnęła:

– Teraz należałoby „bezugszajnami" wytapetować całą ścianę.

– Nie, tego nie da się zrobić. To nie jest nasze mieszkanie – zauważył ojciec nie bez racji.

Po kilku dniach, gdy Górny Śląsk był już w rękach Armii Radzieckiej, ojciec wyruszył do Chorzowa. Jak on tam dotarł, nigdy się nie dowiedziałem.

Do mamy natomiast zaszedł pan Adamczyk, znajomy z Jasła, właściciel tamtejszej dużej mleczarni w Ulaszowicach, tak samo jak my wysiedlony z Jasła. Zaproponował operację handlową, w której miałem odgrywać ważną, wręcz kluczową rolę. Miał skądś sporo kamyków do zapalniczek. Postanowił je sprzedać, a do tego byłem mu potrzebny. Wiedział od mamy o moim handlowaniu gazetami i umyślił sobie, że będę sprzedawał kamyczki na tandecie, sukcesywnie się z nim rozliczając.

Przystałem na to, zastrzegając, że nauka w gimnazjum nie pozostawia mi już tyle wolnego czasu, ile szkoła powszechna podczas okupacji niemieckiej. Rzeczywiście, byłem w stanie wygospodarować zaledwie dwa popołudnia i nie był to żaden interes. Szło marnie. Po co ludziom kamyki do zapalniczek, których nie mieli? Tandeta znajdowała się wtedy na placu Nowym, w sercu pożydowskiego Kazimierza. Handlowano na niej wszystkim, absolutnie wszystkim. Kłębił się tam tłum starych i młodych, obwiesiów i ludzi robiących dobre wrażenie, biedaków, byłych więźniów obozów koncentracyjnych w resztkach pasiaków i osób, które wyglądały na cieszące się szczęśliwym losem.

W połowie kwietnia skończyły się zabawa w handel na tandecie i nauka w gimnazjum w Krakowie. Nadeszła wiadomość od ojca, że urządził się już w Chorzowie – zdobył mieszkanie i ma posadę.

Czekał na mój przyjazd. Nie pamiętam, dlaczego padło tylko na mnie. Dlaczego cała rodzina nie ruszyła do Chorzowa?

Pojechałem sam, mając za bagaż jakąś niewielką podniszczoną walizkę. Wsiadłem na dworcu krakowskim do pociągu składającego się z byle jakich wagonów i przez Miechów, stacje: Tunel, Olkusz, Sosnowiec, po kilkunastu godzinach dojechałem do Katowic. Stamtąd, niedawno ponownie uruchomionym tramwajem nr 6, dotarłem do Chorzowa.

Ojciec czekał na mnie w przydzielonym mu poniemieckim mieszkaniu przy ulicy Kopernika 6, na trzecim piętrze. Cztery pokoje, kuchnia, łazienka, loggia z widokiem na kościół św. Antoniego i park. Mimo że piętra były wysokie, windy w domu nie było.

Mieszkanie do ostatniej chwili zajmowała rodzina niemieckiego nauczyciela, reichsdeutscha, niejakiego Klahra, która uciekła tuż przed zajęciem Chorzowa przez wojska sowieckie. Mieszkanie opuścili w popłochu, zabierając najcenniejsze przedmioty, a więc niezbędną odzież, srebra i biżuterię. Reszta została… Szafy pełne były bielizny i ubrań, wśród których honorowe miejsce zajmował brunatny mundur członka SA. Ostało się pełne wyposażenie kuchni. Jak opowiadał mi tata, na stole stały talerze z resztkami jedzenia.

W mieszkaniu Klahrów nie było jednak żadnych antyków, a obrazy nie miały jakiejkolwiek wartości artystycznej. Sądząc po zawartości szafy bibliotecznej, pan Klahr był nauczycielem fizyki i biologii, gdyż połowę jej zapełniały numery czasopisma „Kosmos".

W Chorzowie ojciec nie wrócił do zawodu nauczyciela szkoły zawodowej. Gdy zgłosił się w magistracie, otrzymał propozycję zorganizowania teatru miejskiego. Ktoś pamiętał, że przed wojną grywał w chorzowskim półzawodowym teatrze. W ten sposób został, chyba niespodziewanie i dla siebie, dyrektorem teatru w Chorzowie.

Wkrótce dojechał mój brat i rozpoczął naukę w szkole podstawowej, a ja wylądowałem w tamtejszym gimnazjum.



Zdjęcie legitymacyjne – chorzowskie Gimnazjum im. Odrowążów, klasa IIc, 1946 [zbiory autora]

Nikomu z nas nie wiodło się w Chorzowie. Tata po niecałym roku stracił posadę, mama tylko przemknęła przez Chorzów, gdyż postanowiła z Trojnarami, tymi, z którymi podróżowaliśmy wagonem w październiku 1944 r. do Krakowa, założyć ponownie skład materiałów budowlanych w Jaśle. Wróciła więc do Jasła i tam zaczęła zarabiać pieniądze dzięki uzyskaniu przez ten skład statusu powiatowego składnika materiałów budowlanych rozprowadzanych przez Centralę Materiałów Budowlanych w Rzeszowie, przeznaczonych głównie na odbudowę wsi i miast zniszczonych w czasie wojny.

Jacek zaś zaczął mieć kłopoty ze zdrowiem. Jesienią 1945 r. zachorował na zapalenie szpiku kostnego w kości goleniowej. Prawdopodobnie po jakimś urazie w szkole. Gdy wydawało się, że operacja zlikwidowała definitywnie chorobę, ta dała wkrótce ponownie znać

o sobie. Gdyby nie graniczące z cudem zdobycie penicyliny, nie pomogłaby operacja. W czasie choroby brat ujawnił uzdolnienia artystyczne. Aby wypełnić sobie czas, zaczął rysować. Od razu było widać, że rysunki dowodzą jego talentu.

Wyposażenie Gimnazjum im. Odrowążów – dzisiaj: I Liceum Ogólnokształcące im. Juliusza Słowackiego – do którego chodziłem, było w tamtych czasach czymś niebywałym. Szkoła mieściła się w wybudowanym w stylu Bauhausu i oddanym do użytku w 1932 r. gmachu dla prywatnego niemieckiego Gimnazjum im. Josepha von Eichendorffa, w ramach jakiejś umowy zawartej między rządami polskim i niemieckim. Było fenomenalnie urządzone. Supernowoczesny budynek, piękne, przestronne klasy z przeróżnymi tablicami, niezliczone specjalistyczne gabinety dla wszystkich przedmiotów, nawet śpiewu (znajdowała się tam m.in. tablica nutowa, nie licząc różnych instrumentów), rysunku, geografii, chemii, fizyki, biologii. Brakowało tylko basenu kąpielowego. W zamian była świetnie wyposażona sala gimnastyczna z przebieralniami i prysznicami. W pamięci pozostały mi jednak przede wszystkim… płaskie ćwieki nasadzone na poręcze schodów, uniemożliwiające zjeżdżanie po nich.

Marnie mi się jednak tam wiodło. Nie polubiłem, ze wzajemnością, nauczycieli języka angielskiego i matematyki. Uczący języka angielskiego dr Ryszard Ligacz żądał uczenia się na pamięć rozdziałów jakiejś angielskiej książki dla młodzieży, a nauczyciel matematyki nie interesował się specjalnie tym, czy coś rozumieliśmy z jego przedmiotu. Idiotyczny z mej strony opór, sprzężony z niebywałym lenistwem, kończył się notami niedostatecznymi oraz niechęcią do wszystkiego, co wiązało się z tą szkołą. Nie potrafię sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie chciało mi się uczyć na pamięć – z lekcji na lekcję – prostych angielskich czytanek. Uparłem się, że nie będę tego wkuwać, i na swoje nieszczęście dotrzymywałem słowa. Dr Ligacz „płacił" mi za ten upór kolejnymi notami niedostatecznymi.

Dzisiaj jestem zdania, że wbijanie pamięciowe do głów młodych ludzi zwrotów idiomatycznych języka angielskiego nie było najgorszą metodą. W porozumiewaniu się najczęściej posługujemy się gotowymi szablonami językowymi. Po wielu latach, gdy już po doktoracie uczyłem się języka francuskiego, nie miałem nic przeciwko wkuwaniu na pamięć czytanek w tym języku.

Nie miałem żadnego bliższego kolegi, z nikim się nie przyjaźniłem – oprócz Pawła Dubiela, potomka słynnej rodziny Dubielów od dziesięcioleci walczących o polskość Śląska, ale on był uczniem innej, równoległej albo nawet wyższej klasy. Zabrakło mi dzielenia się ze mną swoją mądrością, z której słynął w Krakowie, gdzie po latach ponownie się spotkaliśmy. Może byłby w stanie jakoś wpłynąć na kierunek rozwoju moich szarych komórek. Był dowódcą drużyny harcerskiej, ale chyba nie w naszym wspólnym gimnazjum. Poznaliśmy się w harcerstwie i tam, i tylko tam się spotykaliśmy, niestety sporadycznie. Jedynym bowiem plusem tamtych lat było zaangażowanie się w harcerstwo. Po kursie dla drużynowych zuchów otrzymałem drużynę zuchów w pobliskiej szkole podstawowej i wiele godzin, ewidentnie ze szkodą dla moich obowiązków w gimnazjum, spędzałem na zbiórkach z malcami.

W końcu dzięki korepetycjom – byłyby niepotrzebne, gdyby chciało mi się choć trochę przyłożyć do nauki – otrzymałem świadectwo ukończenia drugiej klasy gimnazjum i na tym skończyła się, na szczęście, moja edukacja w Chorzowie.

Po wakacjach spędzonych w Jaśle u mamy nie wróciłem do Chorzowa. Zostałem uczniem trzeciej klasy Gimnazjum im. Króla Stanisława Leszczyńskiego w Jaśle. Gimnazjum znalazło tymczasowe lokum w budynku mojej dawnej szkoły powszechnej; na odbudowę spalonego gmachu gimnazjum trzeba było jeszcze poczekać. Krótko trwało moje uczenie się w Jaśle – tylko dwa miesiące. W drugiej połowie 1946 r. zaszły bowiem istotne zmiany w życiu naszej rodziny. Ojciec postanowił

wyjechać z Chorzowa na zawsze. Zaczął się kolejny etap w jego życiu, i nie tylko jego.

Zostawił w Chorzowie sprowadzoną do tego miasta rodzinę mamy: jej siostrę Ednę z córką Krystyną, jej mężem i dwojgiem dzieci, a także Jadwigę, żonę brata mamy Władysława, i jej dwie siostry oczekujące jego powrotu z Anglii. Ja zaś zabierałem ze sobą przykre wspomnienia z gimnazjum, w którym nikt za mną nie tęsknił, z silną zresztą wzajemnością.